BALCANICA POSNANIENSIA XXXI
Poznań 2024

IN MEMORIAM

MIROSŁAW JERZY LESZKA (1963–2024)

https://doi.org/10.14746/bp.2024.31.23

© 2024. The Author(s). Published by Adam Mickiewicz University in Poznań, 2024. Open Access article, distributed under the terms of the Creative Commons license (CC BY-SA 4.0) Attribution-ShareAlike 4.0 International (https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/).

Erato złotowłosa i ty, wdzięczna lutni,
Skąd pociechę w swych troskach biorą ludzie smutni!
Uspokójcie na chwilę strapioną myśl moję,
Póki jeszcze kamienny w polu słup nie stoję,
Lejąc ledwe nie krwawy płacz przez marmór żywy,
Żalu ciężkiego pamięć i znak nieszczęśliwy.

Jan Kochanowski, *Tren XV*

W czasie, w którym piszę ten tekst, kończylibyśmy właśnie nasz wspólny referat o carze Samuelu na konferencję naukową w Petriczu. Prawdopodobnie ustalalibyśmy też, które zabytki sztuki bizantyńskiej udałoby się nam zobaczyć, korzystając z położenia ośrodka goszczącego u zbiegu granic Bułgarii, Macedonii Północnej i Grecji. Na moim biurku nadal leżą mapy i przewodniki, z zaznaczonymi Jego ręką miejscami. Wyprawa na pożegnanie lata, po której zapewne wrócilibyśmy — w doskonałym nastroju i pełni nowych pomysłów, z kolekcją unikatowych zdjęć do naszych nowych książek w aparacie — do pracy. Obok map i przewodników piętrzą się wciąż przede mną różne papiery, nad którymi z Nim pracowałam: kopie kart z rękopisów do przebadania w ramach naszego projektu, publikacje w toku…

Nie pojedziemy już razem do Petricza. Nasze teksty pokończę sama. Mój telefon, tak przyzwyczajony do nieustannego szemrania wymienianych wiadomości — uparcie milczy. Ponieważ 24 sierpnia 2024 r., około wpół do ósmej rano jakieś zawistne śródziemnomorskie bóstwo postanowiło znienacka przeciąć nić Jego życia. W chwilach, w których nie obezwładnia mnie rozpacz, kipi we mnie gniew. Poprzysięgam sobie wówczas, że choćby nie wiem ile trudu mnie to kosztowało — znajdę bramy Hadesu i pójdę tam po Niego. Odszukam władającą krainą śmierci osobę i wytłumaczę jej, że podjęta przez nią decyzja nie była słuszna. Więcej: była niesprawiedliwa i po prostu nieracjonalna. Użyję wszystkich argumentów, które przyjdą mi do głowy. Będę krzyczeć, płakać, grozić i padać na twarz, jak na bożego raba przystało. W końcu dam do zrozumienia, że nie uwolni się od mojej natarczywej obecności, póki nie odda Go nam z powrotem. A później pozostanie już tylko zaufać Mu tak, jak ufałam zawsze do tej pory: pamiętać, by w drodze powrotnej ku powietrzu i słońcu, nie słysząc za sobą Jego głosu, Jego zaraźliwego śmiechu czy choćby szelestu Jego kroków, nie odwracać się za siebie.

Nie znalazłam jednak jeszcze drogi do Hadesu. I dlatego — gdy tylko dano mi szansę przelania na papier moich myśli w nurcie dyskursu akademickiego i wychodząc poza jego ramy — piszę.

Prof. dr hab. **Mirosław Jerzy Leszka** (4 IV 1963 – 24 VIII 2024), wybitny historyk, bizantynista i mediewista z Katedry Historii Bizancjum w Instytucie Historii na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego, był uczniem prof. dr. hab. Waldemara Cerana, twórcy łódzkiej szkoły bizantynologicznej. Pod jego kierunkiem stawiał swoje pierwsze kroki na naukowej ścieżce, w 1987 r. przygoto-

wując pracę magisterską poświęconą intronizacjom cesarzy wczesnobizantyńskich, a w listopadzie 1995 r. broniąc doktorat na temat uzurpacji w cesarstwie wschodnim (IV–IX w.). Habilitację uzyskał 19 lutego 2004 r., na podstawie monografii pt. *Wizerunek władców pierwszego państwa bułgarskiego w bizantyńskich źródłach pisanych* (*VIII – pierwsza połowa XII w.*). Z dniem 22 stycznia 2016 r. stał się profesorem nauk humanistycznych.

Profesor Mirosław J. Leszka całe swoje naukowe życie związał z Katedrą Historii Bizancjum UŁ, pozostając wiernym dążeniu swego mistrza, prof. Waldemara Cerana, do konsolidacji i rozwoju studiów bizantynistycznych w ośrodku łódzkim. Dawał temu wyraz, włączając się w różne inicjatywy, m.in. od 2011 r. współtworzył Centrum Badań nad Historią i Kulturą Basenu Morza Śródziemnego i Europy Południowo-Wschodniej im. prof. Waldemara Cerana, *Ceraneum* UŁ. Szczególne miejsce w Jego sercu zajmowała jednak działalność wydawnicza Katedry Historii Bizancjum UŁ i Centrum *Ceraneum* UŁ. Był współzałożycielem i wieloletnim przewodniczącym komitetu redakcyjnego serii naukowej „Byzantina Lodziensia". W efekcie Jego pracy na tym stanowisku zostało opublikowanych w jej ramach, w latach 2012–2024, aż trzydzieści jeden książek (trzy kolejne zaś, nad którymi pracował nieomal do ostatnich chwil swego życia, ukazują się już teraz pośmiertnie). Od 2011 r. współtworzył również (od 2021 r. jako redaktor naczelny) czasopismo „Studia Ceranea. Journal of the Waldemar Ceran Research Centre for the History and Culture of the Mediterranean Area and South-East Europe", a także serię wydawniczą o charakterze źródłowym — „Series Ceranea".

Profesor Mirosław J. Leszka reprezentował typ sumiennego i nadzwyczaj pracowitego badacza. Opublikował, indywidualnie lub we współautorstwie, czternaście monografii (większość z nich, oczywiście, w swojej ukochanej serii „Byzantina Lodziensia"), a także ponad dwieście artykułów naukowych i recenzji. W tekstach tych poruszał bardzo różnorodne tematy, oscylujące wokół historii cesarstwa wschodniorzymskiego i bizantyńskiego w IV–XV w. Niemniej istotną gałęzią Jego zainteresowań naukowych były kontakty Bizantyńczyków ze światem słowiańskim, w którym szczególną atencją darzył pierwsze państwo bułgarskie, a przede wszystkim — jego nieprzeciętnego władcę, Symeona I Wielkiego (893–927). Dobitnym świadectwem tego, jak pozytywnie Jego analizy przyjmowane były w środowiskach akademickich nacji, o których pisał, jest fakt, iż teksty Jego autorstwa tłumaczono na języki słowiańskie (m.in. bułgarski i rosyjski) oraz wydawano za granicą. Szerokość Jego naukowych horyzontów oraz cechującą Go odwagę badawczą, manifestującą się w gotowości do podejmowania studiów nad nowymi wciąż zagadnieniami, oddają również tematy czterech dużych projektów zespołowych, którymi kierował w latach 2007–2024: odnajdziemy wśród nich zarówno grant na badania nad Konstantynopolem w IV–VII w. (2007–2010) oraz państwem bułgarskim w X stuleciu (2015–2018), jak i studium wschodniorzymskich elit wojskowych w latach 408–518 (2019–2024, projekt ten kończyliśmy, kiedy Profesor był już w szpitalu), czy wreszcie — niejako „osierocony" przez Niego grant poświęcony historiografii bizantyńskiej z IX w.

i jej adaptacji na gruncie piśmiennictwa cerkiewnosłowiańskiego. Profesor Mirosław J. Leszka był też uczonym rozpoznawalnym międzynarodowo, członkiem wielu gremiów naukowych, m.in. Komisji Bizantynologicznej PTH i Komisji Bałkanistyki przy Oddziale Polskiej Akademii Nauk w Poznaniu.

W Jego nastawieniu do pracy naukowej i rozumieniu etosu uczonego na szczególną uwagę zasługują zwłaszcza dwa elementy. Po pierwsze, był człowiekiem bardzo skromnym, obdarzonym niezwykle rzadko spotykaną w środowisku akademickim umiejętnością spoglądania na siebie i swe dokonania z dystansu, zawsze z przymrużeniem oka. Przy każdej okazji starał się uświadamiać nam, skupionym wokół Niego młodym, że absolutnie nic, ani zajmowane stanowisko czy piastowana funkcja, ani stopnie i tytuły naukowe, ani nawet liczba zrealizowanych projektów czy opublikowanych tekstów, nie czyni nas wartościowszymi od innych ludzi. „Poważni Badacze" — zwykł mawiać o sobie i o nas. Towarzyszący tej frazie każdorazowo uśmiech sugerował jednak, ile powagi było w tym stwierdzeniu.

Zdawał sobie także sprawę z tego, że żaden naukowiec, żaden człowiek nie powinien być nigdy „samotną wyspą". Z tego powodu zabiegał o nawiązywanie i podtrzymywanie nie tylko współpracy z badaczami z innych ośrodków, ale również — czy przede wszystkim — relacji koleżeńskich, przyjacielskich. Starał się, na ile mógł, niwelować antagonizmy wśród ludzi w swoim najbliższym otoczeniu. Jako przewodniczący komitetu redakcyjnego serii „Byzantina Lodziensia" wkładał wiele serca i niejednokrotnie żmudnej, czasochłonnej pracy (gdyż znaczną część zadań redakcyjnych wykonywał sam) w to, by książki autorstwa Jego kolegów wychodziły spod Jego ręki w szeroki naukowy świat możliwie najstaranniej przygotowane. To dzięki Niemu wszystkie osoby, które obroniły doktorat w Katedrze Historii Bizancjum UŁ w ciągu ostatniej dekady, miały możliwość wydania swych dysertacji w formie monografii. Nie stronił też od współpracy z młodymi badaczami, chętnie zapraszając ich do udziału w swych publikacjach i projektach. Kiedy wymagała tego sytuacja, był nawet gotów zrezygnować z własnego wynagrodzenia na ich rzecz. Dla wielu spośród nich, spośród nas inicjatywy te były często jedyną szansą na kontynuowanie pracy badawczej i podtrzymanie kontaktu ze środowiskiem akademickim po doktoracie.

Nie sposób w tak krótkim tekście wspomnieć o wszystkich Jego osiągnięciach naukowych. Z pewnością zrobią to też lepiej ode mnie inni, bardziej doświadczeni w pisaniu obituariów koledzy. Ja chciałabym tylko raz jeszcze podkreślić, że w dniu 30 sierpnia 2024 r. na łódzkim cmentarzu „na Dołach" złożyliśmy wspólnie do grobu doczesne szczątki — przede wszystkim i nade wszystko — człowieka. Dobrego człowieka. Jednego z najlepszych, jakich Opatrzność postawiła dotąd na mej drodze. Kochającego nad życie swoją Córkę i Żonę, gotowego zrobić dla nich absolutnie wszystko. Niezwykle przywiązanego do swoich bliskich i psa Karmela. Kochającego życie. Ufam, że w jakimś stopniu także i nas — swoich przyjaciół i uczniów. Zawsze będę poczytywać za wyjątkowy dar losu to, iż było mi dane — niestety, boleśnie krótko — mieć obok siebie przyjaciela, który wiekiem i doświadczeniem górował nade mną do tego stopnia, że w naturalny sposób postrzegałam go

trochę jak rodzica. Zawsze gotowego pośpieszyć mi z pomocą, wesprzeć w trudnej sprawie, dodać otuchy i odwagi, przejechać za kierownicą samochodu pół Europy lub tylko odwieźć do domu w deszczowy dzień. Ciepły głos, który zawsze odzywał się w telefonie, gdy dzwoniłam po radę i pomoc, albo tylko po to, by wypowiedzieć mój żal i niezgodę na okrucieństwo świata. Profesora, który nigdy jednak nie próbował przytłoczyć mnie swym autorytetem i narzucić mi swej woli, ale cierpliwie słuchał, uspokajał, mądrym słowem kierował na właściwe tory. Niestrudzenie przekonując, iż może jednak ludzie nie są do końca źli. Mają swoje lepsze momenty. Od czasu do czasu. Nawet badacze.

Szukając w pamięci zdarzenia, które mogłoby tu posłużyć jako *exemplum* ilustrujące stosunek Profesora do badanych kwestii i ludzi, przypominam sobie pogodny dzień z maja 2018 r. Naukowe losy rzuciły nas wówczas razem, w niewielkiej badawczo-przyjacielskiej grupie, do Nowogrodu Wielkiego. Przywitał on nas niezwykle ciepłą jak na tę szerokość geograficzną aurą. Słońce leniwie toczyło się po zgoła śródziemnomorskim niebie, nawet późnym wieczorem nie kwapiąc się odejść za horyzont. Postanowiliśmy udać się na położone poza obecnymi granicami administracyjnymi miasta Grodziszcze Rurykowe, uroczysko, które — jak sama nazwa wskazuje — zostało w lokalnej tradycji zapamiętane jako siedziba Waregów, rzekomo przywołanych „zza morza" przez miejscowe plemiona słowiańskie w IX w. Zamiast zamówionej przeze mnie w hotelowej recepcji nowogrodzkiej taksówki podjechała po nas trzydziestoletnia Łada Samara w kolorze nierozpoznawalnym pod wieloma warstwami przydrożnego błota, należąca do wujka recepcjonistki. Wujek, trzeba mu to oddać, dzielnie starał się wypełnić swe zadanie, klucząc po okolicznych wioskach, aż zrezygnowany zatrzymał samochód w poprzek szosy i stwierdził, że lepszej drogi na Grodziszcze nie ma. Wysiadłszy, skonsternowani spojrzeliśmy we wskazanym kierunku: przepływająca przez Nowogród Wielki rzeka Wołchow jest nadal nieuregulowana, po obfitszych opadach wylewa zatem swobodnie, zamieniając usytuowaną na wzgórzu, legendarną siedzibę Ruryka… w wyspę. Niezrażona tym widokiem, stanowczo ruszyłam przed siebie, w sandałach i ubraniu, po szutrowej drodze, która w pewnym miejscu po prostu zaczynała tonąć w wodzie. Była ciepła, krystalicznie czysta, prądu czy fali ani śladu. W miarę zstępowania w nurt rzeki mój zapał badawczy i odwaga topniały jednak nieubłaganie. W końcu, po kolana zanurzona w wodzie odwróciłam się do Profesora, mówiąc, że musimy dotrzeć na Grodziszcze Rurykowe, ale chciałabym, by ktoś poszedł ze mną.

— Może jednak Zofia sama przeskoczy rzeczkę, raz-dwa zdjęcia porobi i wracamy? — zaproponował.

Odparłam, że sama nie pójdę, bo się boję. Na płyciźnie widać było, co prawda, zarysy szosy, ale znajdowaliśmy się na terytorium rosyjskim, a w Rosji i po Rosji — jak wiadomo — spodziewać się można absolutnie wszystkiego, nawet kilkunastometrowej rozpadliny, otwierającej się znienacka na środku zalanej wodami rzeki drogi krajowej, nawet takiej, która w przewodnikach opisywana jest jako w pełni przejezdna, także dla ciężarówek i autobusów.

— To Zofia mi jeszcze raz przekonująco przypomni, po co my musimy tam iść? — spytał Profesor, machając miarowo ręką w kierunku Grodziszcza. — Tam jakieś kości Ruryka są?

Odrzekłam, że kości, o ile mi wiadomo, nie ma. Są za to ruiny cerkwi z XII stulecia, przebudowanej w wieku XIV. Jedno z nielicznych zastosowań ostrołuku na Rusi. A poza tym — Ruryk tam mieszkał, Ruryk!

Twarz Profesora wyrażała bardzo umiarkowany entuzjazm zarówno dla Ruryka, jak i ostrołuku. Spojrzał mi jednak prosto w oczy i zapytał:

— Zofia się naprawdę boi czy mnie teraz podpuszcza?

Nie musiałam już odpowiadać. Sam z mojego spojrzenia domyślił się wszystkiego. Westchnął.

— To Zofia stoi tam, gdzie się zatrzymała. Nie rusza się. Pójdę pierwszy.

W milczeniu obserwowałam, jak spokojnie odpina zegarek z przegubu ręki i oddaje go siedzącej na brzegu, trzeciej uczestniczce wyprawy. Podobnie jak wszystkie inne przedmioty, które potencjalnie mogły ucierpieć wskutek kontaktu z wodą. Wszystkie, z wyjątkiem aparatu fotograficznego, który przez całą drogę przez fale Wołchowa niósł przed sobą jak skarb. Brnąc w wodzie za Nim, zaczęłam odzyskiwać dobry humor.

— Oj tam, taka rzeczka — powiedziałam — najwyżej się kawałek podpłynie.

Cisza. Potem charakterystyczne odkaszlnięcie. W końcu rzucone w przestrzeń słowa:

— Kto podpłynie, ten podpłynie, pani Zofio.

Zdążyłam już zauważyć, że Profesor nie darzy przesadną atencją akwenów. Przyczynę tego nastawienia miałam jednak poznać dopiero kilka lat później.

Kiedy dotarliśmy na Grodziszcze, z kępy drzew wyłoniły się ruiny cerkwi.

— No fan-ta-sty-czny obiekt — rzekł Profesor, wymierzając w ich kierunku obiektyw swego aparatu. Po nich, z takim samym namaszczeniem, sfotografował jeszcze upamiętniający Ruryka kamień (z początku XXI w.) oraz… ludzką piszczel, też raczej nie z IX w., bielejącą sobie w trawie niczym kości średniowiecznych bohaterów, o których lud słowiański zwykł śpiewać pieśni. Z niewiadomego powodu ktoś bowiem kiedyś postanowił, by na otaczającym Grodziszcze, podmokłym terenie założyć cmentarz. Rosja.

W drodze powrotnej, wiedząc już, że woda w najgłębszym miejscu przeprawy sięgnie mi tylko do połowy uda, zachwycona przygodą i poczuciem bezpieczeństwa, jakie podarował mi Profesor, zaczęłam mówić, że powinniśmy razem napisać książkę o Nowogrodzie Wielkim. Że będzie wspaniała. Zamieścimy w niej Jego fotografie, a na okładce znajdzie się zdjęcie, które właśnie… robi nam odpoczywająca w przybrzeżnych szuwarach uczestniczka wyprawy. W tym momencie anielska cierpliwość mojego towarzysza jednak się wyczerpała.

— Błagam. Nie teraz. Nie na środku tego mokradła — rzekł stanowczo i energiczniej ruszył przed siebie.

— Przecież ja nie mówię, że to musi być to zdjęcie — niezrażona pobiegłam za Nim — ono może być w środku, a na okładkę damy jakiś ładny nowogrodzki kościółek.

Profesor zaczął się śmiać. Po czym wypowiedział frazę, którą słyszałam od Niego już wcześniej i miałam usłyszeć jeszcze wiele, wiele razy:

— Zofia to jednak nie ma dla mnie litości.

I wyciskając z wody przemoczone ubranie, poszedł w kierunku czekającego na nas samochodu.

Teraz, kiedy wiem, że na tym świecie nie usłyszę już Jego głosu, pewien dobry człowiek powiedział mi, że takie rozstania jak nasze są — w perspektywie historycznej — na bardzo krótko. Nie muszę szukać bramy Hadesu. Zostanę kiedyś przed nią postawiona, być może nawet szybciej, niżbym chciała. Przekroczę ją wtedy i odnajdę Go w krainie cieni. I przy którejś czaszy wina z granatów zapytam, czy w tamto majowe popołudnie sforsował rzekę z sentymentu dla Waregów, czy też dlatego, że to ja bałam się przejść sama przez wodę, której głębokość, jak się potem okazało, nie przekraczała jednego metra.

On zaś spojrzy na mnie, uśmiechnie się i wykonując swój charakterystyczny ruch ręką, jakby coś łapał w powietrzu, powie:

— Wiadomo. Poważny Badacz. Wszystko zrobi dla Ruryka.

I zobaczę znów to światło w Jego oczach.

Zofia A. Brzozowska
Uniwersytet Łódzki